Rok II. Lwów, środa 1. kwietnia 1908. Nr. 364.

1 cent

GONIEC POLSKI

2 hal.

Wychodzi codziennie o godz. 2 popoł.

Wydawca: Inż. HENRYK MACHALSKI.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE:		NA PROWINCYI:	
miesięcznie	50 h	mies. z przes. poczt.	1 K
„ z dostawą do domu	1 K	kwartalnie	3 K
numer pojedynczy	2 h	numer pojedynczy	4 h

NR. TELEFONU: 982.

Zagranicą 2 franki miesięcznie z przesyłką pocztową.

Sprzedaż pojedynczych numerów ul. Krzywa 6.

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz petitem.

Redakcya i Administracya Lwów, Podwale 7

Drobne ogłoszenia po 4 halerze od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 halerzy.

Co dzień niesie?

Przed kilkoma dniami zdarzyło mi się być świadkiem przykrej sceny.

W pewnym zamożnym domu zapodziała się gdzieś kosztowna broszka. Zarządzono poszukiwania, przetrząśnięto cały dom do góry nogami — napróżno. Broszka zniknęła bez śladu.

— Nikt inny, tylko służąca zabrała — zaopiniowała starsza pani. Dawno już mówiłam, że to nic dobrego.

Daremnie biedna dziewczyna ze łzami w oczach zapewniała na wszystkie świętości, że jest niewinną, daremnie tłómaczyła się, przysięgała, broniła. Głos starszej pani zadecydował, że nikt inny, tylko ona, zabrała broszkę — i nikt ani myślał zaoponować przeciw temu. I im goręciej dziewczyna broniła się, tem silniejszem wydawało się rzucone na nią podejrzenie.

W końcu zagrożono jej policyą.

— To ja się chyba zabiję! — ryknęła dziewczyna z rozpaczą.

Na szczęście przypadek dopomógł do wykrycia prawdziwego sprawcy. W pokoju panicza znaleziono zapomniany portfel, w którym na miejscu honorowem znajdowała się... kartka zakładu zastawniczego na zastawioną broszkę.

Po nitce doszło się do kłębka. Pokazało się, że obiecujący, 17 wiosen liczący młodzieniec, chluba domu, fenomen prawie wszystkich cnót i zalet, ściągnął mamie broszkę, aby za uzyskane z zastawu pieniądze zapłacić dług honorowy.

Służącą naturalnie przeproszono, ale ambitna dziewczyna kategorycznie podziękowała za miejsce. Nie chciała być dłużej w domu, w którym rzucono na nią tak ohydne podejrzenie.

— A cóżbyś pani była uczyniła — zapytałem starszą panię — gdyby dziewczyna w obawie wstydu i dalszych konsekwencyi była sobie co złego zrobiła! Byłby to nie pierwszy i ostatni wypadek tego rodzaju. Sam niedawno wyczytałem o podobnem zdarzeniu, że jakaś służąca, podejrzana o kradzież, napiła się roztworu ługu...

— Kto jednak mógł przypuszczać coś podobnego — wybąkała zażenowana widocznie starsza pani, niezdolna zdobyć się na inną odpowiedź.

A sens moralny? Nie bądźmy zbyt skorzy do posądzeń, a przedewszystkiem nie patrzmy na otaczającą nas służbę, jak na złodziei, czyhających tylko na sposobność, aby ograbić nas z mienia. Bo wśród naszych gospodyń przywara to bardzo częsta, prawie popspolita. Czy jednak tak być powinno? Traktujmy służbę po ludzku, a wówczas może skargi chlebodawców i chlebodawczyń — zwłaszcza tych ostatnich — na służbę staną się rzadsze. (§)

U nas i na świecie.

Co robi p. Głąbiński w Wiedniu? Kto śledzi jego pracę, jako prezesa Koła polskiego w wiedeńskim parlamencie, ten musiał przedewszystkiem zauważyć, że

p. Głąbiński ciągle mówi.

W każdej komisyi, o wszystkich sprawach, o medycynie i o weterynaryi, o ruskim uniwersytecie i o wymiarze sprawiedliwości. Mówi o wszystkiem, a najważniejsze to, że ciągle mówi. Rozpiera go snać taki nadmiar wiedzy, że wciąż ją musi wyrzucać w olbrzymiej powodzi słów.

Powódź gadania nie jest tylko nieszczęściem p. Głąbińskiego. Zachorowała na nią dotkliwie także

komisya budżetowa,

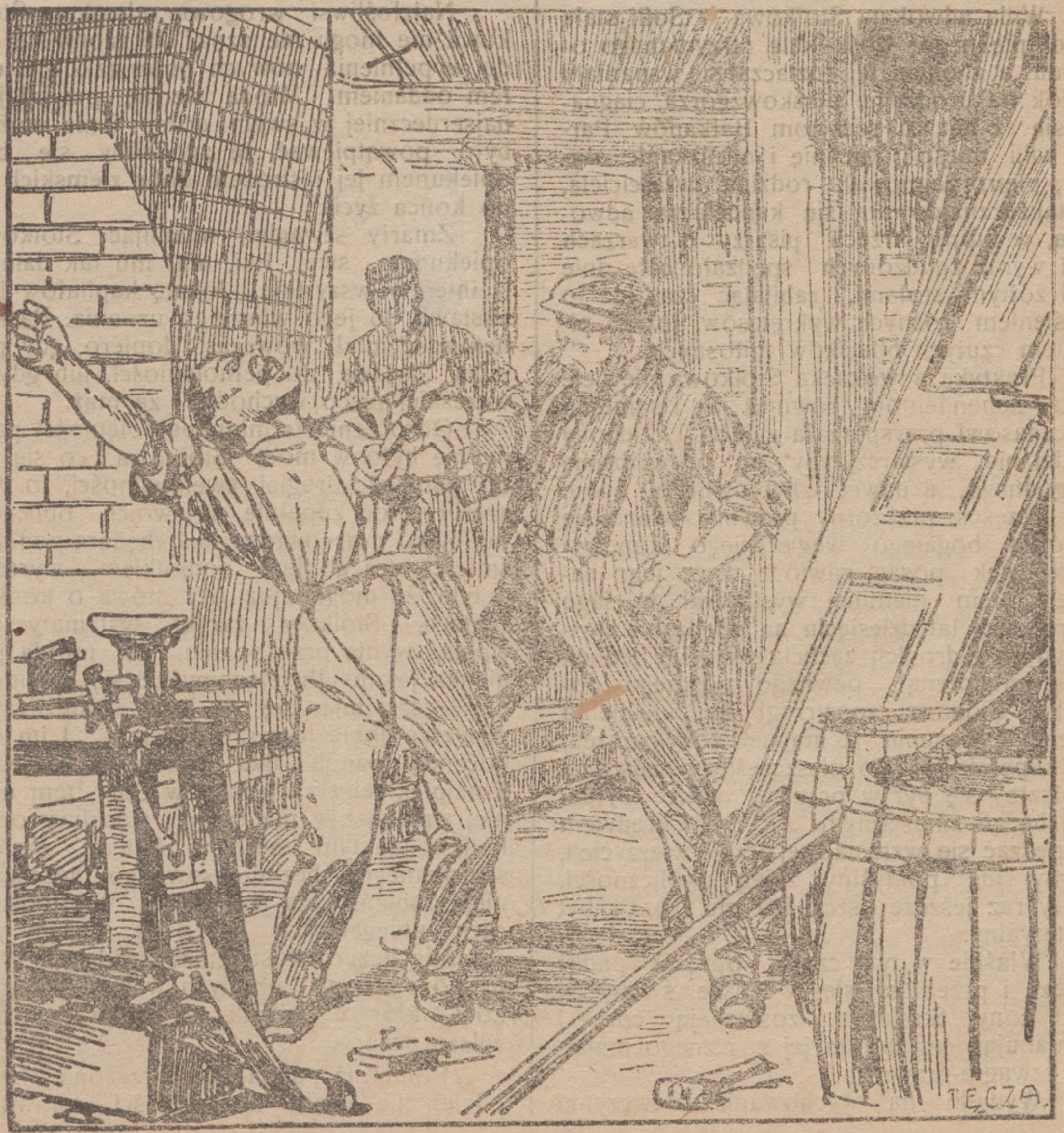
w której widocznie wielu jest takich specyalistów od wszystkiego. Sześć tygodni gada już ta komisya o wszystkiem, tylko nie o budżecie. Rozbabrała już sprawę Wahrmunda, nagadała się do syta w kwestyi uniwersyteckiej, sprawie językowej w Czechach, o reformie podatkowej, administracyi kolejowej i o czem jeszcze kto chce i przegadała razem okrągły

milion koron,

bo jak wiadomo, posłowie biorą dyety, choć rada państwa nie obraduje, a od połowy stycznia do dzisiaj tyle wynoszą te dyety.

Tego gadulstwa wszyscy już mają za dużo. Wystąpił przeciw niemu nie tylko prezes komisyi budżetowej i prezes gabinetu, ale i wszyscy przywódzcy stronnictw i wszyscy przyznają, że trzeba zacząć uczciwie pracować.

Straszny czyn.



Ale od czegoż są socyaliści?

Więc p. Adler, żydowski dziennikarz i wielki wódz socyalistów, zaczął głośno krzyczeć, że gadulstwa nie wolno tamować, bo to jest naruszenie wolności słowa i założył protest, który socyaliści naturalnie okrzyczą za jakiś bardzo mądry i demokratyczny akt, a który w rzeczywiytości jest

haniebnym protestem

przeciw opamiętaniu się i chęci uczciwej pracy.

A ciężka praca czeka komisyę budżetową. Oto ma ona właśnie opracować budżet ministeryum sprawiedliwości, a tu w sądownictwie czeskiem powstały awantury nietylko ciężkie do rozwiązania, ale i przykre, bo wynikłe ze strasznego zaślepienia, które tak ogarnęło Niemców czeskich, że sędziowie Niemcy w Czechach

zapomnieli o bezstronności s dziowskiej

i postanowili nie przyjmować podań napisanych po czesku. Oczywiście posłowie czescy uderzyli na alarm, zagrozili najostrzejszą opozycyą. Jest to więc straszna awantura.

Strach pomyśleć ilu to u nas jest ludzi, którzy nad niczem innem nie myślą, jak nad wywoływaniem awantur, zamieszania, nad budzeniem nienawiści i kłótni. Bo ci ludzie

żyją z nienawiści

podniecają ciemną ludność i roznamiętniają ją, aby w tem rozdrażnieniu wyjść na karkach tych ludzi do mandatów i posad.

Smutną też będzie rozpoczynająca się pojutrze

sesya parlamentu.

Ci wichrzyciele i burzyciele porządku nagromadzili pod tą sesyą tyle grząskiego bagna, że ona w niem — zdaje się — utonie.

Bo proszę sobie wystawić. Naprzód awantura czesko niemiecka, coś w rodzaju bomby, potem sprawa Wahrmunda, coś w rodzaju błota, które ma na nowo skitować i pozlepiać rozlatujące się stronnictwo liberalne.

Z kolei

sprawa uniwersytetów,

których domagają się t. zw. mniejszości narodowe.

Sprawa ta, jak mało która, jest powikłana, trudna do rozwiązania i budzi, jak to widzimy po sprawie

ruskiego uniwersytetu

we Lwowie — najdziksze namiętności.

A wszystko to nic wobec kwestyi już zręcznie, sztucznie przygotowywanych antagonizmów wsi i miast. A jeszcze na zapas pozostaje sprawa

poprawy bytu

najrozmaitszych kategoryi urzędników. Wprawdzie niektóre żądania urzędników są lub mogą być słuszne, lecz będzie to już rzeczą jątrzycieli, żądania te tak postawić, aby z góry była pewność, że rząd nie będzie mógł ich spełnić i że z tych odrzuconych żądań powstanie nowy materyał do agitacyi, która urzędników, mających być bezstronnymi wykonawcami prawa, przemienić usiłuje w jednostki niezadowolone ze swego losu, a więc podatne wszelkim

hasłom nienawiści.

Tak to pracują rozmaici socyalistyczni i inni niesumienni zakapturzeni anarchiści nad zatamowaniem sumiennej pracy prawodawczej, a zarazem nad rozjątrzeniem i rozluźnieniem społeczeństwa.

Zaiste czas, aby ludy Austryi zrozumiały grożące im niebezpieczeństwo ze strony tych po prostu zbrodniczych żywiołów i raz na zawsze zamknęły im drogę tam, gdzie wieść powinna prawdziwa zasługa, miłość ludu i ofiarna chęć rzetelnej pracy dla społeczeństwa, a nie warcholstwo, nienawiść i chęć obłowienia się kosztem roznamiętnionych a ciemnych mas.

Hajdamacy w obronie katolicyzmu.

Dziwnych obrońców doczekał się kościół katolicki... Wczoraj wystąpił w jego obronie nikt inny jak sam p. Combes, były minister prezydent francuski i autor znanych ohydnych ustaw antikościelnych. Ten zacięty wróg katolicyzmu rozpisuje się w żydowskiej *Nowej Presie* o przeszłości i przyszłości kościoła francuskiego i „broni“ go przed uroszczeniami — papieży!

To samo — słowo w słowo — robi p. Longin Cegielskij, redaktor ukraińsko-radykalnego *„Diła“* i kruszy w dzisiejszym numerze na seryo kopię w obronie rusko-katolickiego kościoła. Broni go jednak nie przeciwko papieżowi, ale przeciwko swym własnym ruskim biskupom i zarzuca im wszystkim nie mniej nie więcej, jak tylko „propagandę-prawosławia“ w Galicyi!“

Nie wierzyliśmy własnym oczom, ale organ hajdamaków pisze:

„Propaganda prawosławia znalazła uznanie trzech grecko-katolicich ordynariatów w Galicyi“. Zaciekawieni tem oskarzeniem, zbadaliśmy sprawę i przyszli do przekonania, że wszechukraińskiemu organowi nie chodzi tu wcale o katolicyzm i prawosławie, z których obu każdy „porządny Ukrainiec“ w kułak się śmieje, ale jedynie o „subwencye“ z Towarzystwa im. Kaczkowskiego, które wyłącznie „staroruskim“ czyli jak *Diło* nazywa „moskalofilskim“ literatom i wydawnictwom przyznane rostały. Przy rozdawaniu tych subwencyi przewodniczył z ramienia konsystorza lwowskiego ks. mitrat Bilecki. Stąd wściekłość ukraińska na biskupów i denuncyacya ich tendencyi prawosławnych, jakby między nimi samymi niebyło również szyzmatyków, a co gorsza bezwyznaniowców. Napaść ta—jakkolwiek nieprzykładamy do niej najmniejszej wagi, jest mimo to o tyle znamienną, że pozwolił jej sobie

Zamach.

Willa adwokata Stoikowa w Sofii stała śród pięknego, doskonale utrzymanego ogrodu, a z okien jej roztaczał się wspaniały widok na urodzajne płaskowzgórza, ciągnące się aż het ku szczytom Bałkanów. Parter willi mieścił kuchnię i mieszkanie służby, piętro zajmowała rodzina właściciela, tu także znajdowała się kancelarya adwokata, w której trzech pisarzy o twarzach nad wyraz znudzonych spędzało całe dnie nad żółtymi stołami, zabijając czas już to kreśleniem różnych wykrętasów, już to pisaniem czułych bilecików miłosnych.

Praktyka adwokacka Stoikowa niewiele jego dependentom również jak i samemu mecenasowi przysparzała zajęcia i dochody z niej nie wystarczyłyby na prowadzenie wygodnego, a nawet zbytkownego życia. Na szczęście przezorny prawnik ożenił się z córką bogatego węgierskiego kupca i acz kolwiek posag zawiódł nieco jego nadzieje, tem niemniej wystarczał w ciągu pierwszych lat dziesięciu na opędzanie zbytkownych i drogich zachcianek. Gdy jednak czas ten upłynął, pewnego pięknego poranku Stoikow spostrzegł ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że majątek żony rozszedł się zupełnie. I oto nieszczęśliwy adwokat znalazłby się był w przykrej wielce sytuacyi, będąc zmuszonym żyć tylko kredytem i opędzać się wzrastającej liczbie wierzycieli, gdyby nie pomyślny zbieg okoliczności, który raz jeszcze oszczędził mu trosk o byt materyalny.

Właśnie w tym czasie opuścił padoł płaczu i przeniósł się w lepsze światy — brat żony Stoikowa, zostawiając córkę i i mianując kuratorem jej znacznego majątku szwagra-prawnika.

Wydatki na wychowanie dziewczynki pozwalały zawsze odkrajać coś dla siebie, nadto opiekun miał testamentem zmarłego oznaczone wynagrodzenie dość hojne.

Najzłośliwsi wrogowie adwokata Stoikowa nie mogli nie uznać, iż zabrał się on do wypełnienia nowych obowiązków z całem oddaniem. Młodą sierotę przyjął jak najserdeczniej w swym domu, i nie można było powątpiewać, że zgodziłby się być opiekunem jej i stróżem dóbr ziemskich aż do końca życia.

Zmarły szwagier, mianując Stoikowa opiekunem swej Ilki, ufał mu tak dalece, iż interesy wszystkie, lokatę kapitałów itd. zostawił do jego własnego uznania. Rachunek zdać miał wówczas dopiero, gdy pupilka dojdzie do pełnoletności, lub gdyby wcześniej nieco wychodziła za mąż.

Odroczenie terminu pełnoletności panny nie było w mocy Stoikowa, co się tyczy jednakże drugiej ewentualności, to wykreślił ją on zupełnie ze swoich obliczeń. Jak tylko czarnowłosa Ilka, będąca podczas śmierci ojca dopiero podlotkiem, wyrosła o tyle, że mogła już być mowa o konkurentach, Stoikow zaczął systematycznie wpajać w nią przekonanie, że młoda panienka jak najdłużej namyślać się powinna, nim zdecyduje się na krok stanowczy i wybierze sobie towarzysza życia. I im widoczniej panna Ilka wyrastała na jedną z najpiękniejszych kobiet w Sofii, tem usilniej wmawiał w nią czuły i troskliwy opiekun, że na tym marnym świecie znaleźć szlachetnego i bezinteresownego mężczyznę niepodobieństwem jest prawie. W młodzieńcach ubiegających się o jej względy wuj sprytnie uczył siostrzenicę widzieć tylko łowców posagu, ukrytych w skórze baranków, którym jednak po ślubie wyrosną wilcze pazury.

Ponieważ panna Ilka, strzeżona jak najpilniej, nie miała sposobności sprawdzać osobiście tych oskarżeń, zmuszona więc była przyjmować je na wiarę i kręcących się koło niej młodzieńców traktowała w ten sposób, iż widocznem było, jak szczególna metoda wychowawcza robiła z niej wroga mężczyzn. To też adwokat Stoikow był najzupełniej pewny swej wychowanicy i mimo. iż miała lat 18, dzień składania rachunków z opieki wydawał mu się koniecznością przykrą, lecz bardzo odległą, tak odległą, że na razie nie dbał o nią, oddając się z całym spokojem zabawom i polityce, która była jego namiętnością.

Adwokat na półwyspie Bałkańskim jest zawsze jednocześnie politykiem, i Stoikow był nim całą duszą, szczególniej od czasu, gdy znalazł doskonałego pomocnika w osobie młodego Aleksandra Kryłowa, na którego mógł zdać kancelaryę i sprawy sądowe. Sam poświęcił się wyłącznie pracy publicznej na posiedzeniach Sobrania, w którem zdołał już zająć wybitne stanowisko przewódcy opozycyi, poza tem uprawiał niezliczone intrygi, którem i musi posługiwać się człowiek marzący o stanowisku ministra.

Sofia była właśnie w przededniu wielkich zdarzeń. Rządzące ministeryum chwiało się w podstawach, jeśliby zaś upadło, książę byłby zmuszonym stworzyć nowy gabinet z członków opozycyi.

Stoikow pełen był różowych nadziei, i oczy jego odbijały najweselsze myśli, gdy elegancko ubrany, starannie ufryzowany jak zwykle w godzinie śniadaniowej przekraczał próg jadalni w swoim pięknym domu. Z wytworną galanteryą ucałował rękę żony, jej usta i alabastrowe czoło, mocno uścisnął dłoń Kryłowa, którego w dowód szczególnego uznania dwa razy dziennie zapraszano do stołu.

— Świetne nowiny, moi kochani! Dymisya gabinetu nastąpi lada dzień. Wiem z

przeciwko biskupom organ utrzymywany w głównej części przez Duchowieństwo. Charakteryzuje to doskonale anarchistyczne stosunki, jakie obecnie panują wśród ruskich księży. *(B)*

Ostrzeżenie.

Pisma i przesyłki pieniężne należy adresować „Goniec Polski“ Lwów. Za prenumeratę i anonsy płacić należy, tylko inkasentom z legitymacyą „Machalski i Spółka“. Wszelkie wpłaty inaczej dokonane są nieważne. Równocześnie oświadczamy, że z wydawnictwem „Goniec“ (bez wyrazu „Polski“) nie mamy nic wspólnego, i za zobowiązania owego przedsiębiorstwa nie bierzemy na siebie żadnego zobowiązania.

Piekielny wynalazek.

Niby — śpiewa, gra, gwiżdże. Właściwie — ryczy, pryska, pluje, syczy, harczy, krztusi się, piszczy...

Mówią, że wynalazł go wielki inkwizytor Torquemada. To fałsz. Musiała to być cała spółka wynalazców. Straszliwa mięszanina — kwintesencya i Torquemady, katarynkarza i kuplecisty z trzeciorzędnej knajpy, i piaskarza i mowcy socyalistycznego. Gorzej targa nerwy, niż jakikolwiek stan wyjątkowy, bardziej denerwuje, niż oczekiwanie spełnienia wyroku śmierci.

Są ludzie, którym dźwięki gramofonu, a właściwie jęki potępieńców w ostatnim kręgu piekieł, sprawiają przyjemność. To ludzie chorzy na brak kultury, kalecy pozbawieni smaku artystycznego, słuchu i td.

A są tacy, którzy nie sami tylko w głębi mieszkań, napawają się gramofonem, ale wystawiają go na balkon, aby zatruć życie nie tylko najbliższym sąsiadom, ale i mieszkańcom całej dzielnicy.

Niechaj im nie zabraknie gramofonu w piekle!

Nb. Nie trzeba mieszać gramofonu z grafomanem. Jest między nimi pewna różnica. Gramofon sam wyje, a grafoman zmusza do wycia.

„Niewiadomy sprawca“.

Jest to najgroźniejszy rzezimieszek, wiecznie ten sam, ten dobrze znany i naszej, lwowskiej policyi. Grasuje on po całym świecie, pojawia się codzień we wszystkich miastach równocześnie, wszędzie go pełno, akta policyjne wszystkich miast notują ustawicznie wszystkie jego sprawki, a on kpi sobie z policyi, wymyka się z rąk najprzebieglejszych ajentów policyjnych, kpi sobie nawet z Sherloka Holmesa. Dziwny ten zbrodniarz traktuje zawód swój jakby sport jakiś, wciąż płata najrozmaitsze figle policyi, nie cofając się przed żadną najkrwawszą zbrodnią, nie gardzi też najpospolitszą kradzieżą strychową, czy kieszonkową.

Oto policya jest już na jego tropie, ma jego rysopis, według którego jest on trochę ospowaty, brunet w zielonym palcie, już, już prawie ma go w rękach, tymczasem na inspekcyę zgłasza się jakiś solidny kupiec z placu Krakowskiego, który donosi, że „niewiadomy sprawca“ skradł mu ze strychu 3 pary kalesonów. Subjekt owego kupca, który omal, że nie złapał owego „niewiadomego sprawcy“, przysięga się, że utykał on na lewą nogę, włosy miał jasne, a ubrany był nie w palto, lecz w kurtkę.

Policya traci głowę, wszyscy agenci podrażnieni w swej ambicyi przysięgają, że dotąd nie spoczną, dopóki nie przyaresztują owego „nieznanego sprawcy“, urządzają obławę i rzeczywiście przytrzymują owego utykającego mężczyznę, lecz ten, sprowadzony na inspekcyę, powiada, że nazywa się n. p. Franciszek Baran, albo Tomasz Czuchroń, czy jakkolwiek inaczej — słowem pokazuje się, że „niewiadomy sprawca“ znowu uszedł. I znowu na drugi dzień komisarz inspekcyjny uwiecznia w protokołach nowe jego czyny, równocześnie dzienniki wszystkich miast notują przeróżne występy gościnne tego nieuchwytnego, tajemniczego rzezimieszka. I tak zawsze, a „niewiadomy sprawca“ grasuje po całym świecie, zawsze jednako zuchwały, zawsze bezkarny, kpi sobie z wszystkich policyantów całego świata, pewny, że gdyby nawet Sherlok Holmes zapolował nań — to może złapie kogoś — ale nigdy jego, nieuchwytnego „niewiadomego sprawcę“.

WIOSNA.

Nie mógł się Staszek doczekać wiosny. Co dzień od św. Kazimierza patrzył w kalendarz czy daleko do św. Józefa, kiedy ptaki wracają i ciepło się robi. Gwarzyli z Józkiem o słońcu, które takie złote jest i tak jasno świeci i czekali, ziębnąc w długich surducikach, odziedziczonych po ojcu, którego już dwa lata temu Arymateja wywiozła na janowski cmentarz.

— Józek, to ci frajda będzie na wiosnę. Cały dzień będziemy się wygrzewać na słońcu. A i Mańka uzdrowieje, jak się ciepło zrobi.

Staszek i Józek byli bliźniaki, każdy po dwanaście lat miał i obaj terminowali u tego samego majstra szewskiego. A Mańka znów, mała ich siostrzyczka, blada, całą zimę chorzała. Doktór dzielnicowy raz przyszedł i powiedział, że powietrza dzieciom trzeba i dobrego wiktu. A matka praczka ledwie im po kawałku chleba dać mogła i talerzu wodnistej zupy.

najlepszego źrodła, że wczorajszy zamach odebrał tchórzliwemu prezesowi ministrów i jego wcale nie odważniejszym kolegom wszelką ochotę do dźwigania tek ministeryalnych.

— Zamach! — zdziwiła się pani Marya Stoikow, która zajęta czytaniem francuskich romansów i jedzeniem cukierków, nie wiedziała nigdy, co się działo w Sofii. — Jakto, czyż do niego strzelano?

— Jeszcze gorzej — odparł adwokat, posłano mu do domu maszynę piekielną, niewinny, niepozorny pakunek, w którym mieściła się bomba. Skrzynkę polecono otworzyć jednemu ze służących i biedak ten strasznie poraniony pasuje się w tej chwili ze śmiercią.

— Ach, jakież to nikczemne! — krzyknęła panna Ilka, która skromnie zapatrzyła się w talerz od chwili, gdy przy stole znalazł się i Kryłow. — Jeśli każdy polityk narażony jest na takie niebezpieczeństwa, to czyż słusznie robisz, kochany wuju, starając się o zostanie ministrem?

Stoikow oparł się o poręcz krzesła i z podniosłą godnością, zarówno w wyrazie twarzy, jak i tonie głosu, odpowiedział spokojnie:

— Kto przeznaczonym jest do wielkich zadań, musi być gotów każdej chwili paść na stanowisku. Lecz gdyby całe setki sztyletów skierowano w pierś moją, gdyby mi cały wagon bomb przysłano do domu, nie ustąpiłbym ani jednego cala z mego stanowiska i z moich przekonań.

— Boże, co za okropność — zawołała pani domu. — Odtąd będę się bała otworzyć nawet pudełko z cukierkami, by nie wybuchło czasem.

— Czy natrafiono już na ślad winowajcy? — wmieszał się do rozmowy Kryłow, młodzieniec o żywem wejrzeniu i zuchowato podkręconych czarnych wąsikach. Niebojący się polityk uśmiechnął się ironicznie.

— Wszakże pan wie, jak to się dzieje. Nigdy z góry nie można przewidzieć, kto się za taką sprawą ukrywa. Dzisiejszy zabójca może być jutro u władzy — bezpieczniej go więc nie zaczepiać. Morderstwo stanowi niekiedy jedną z części aparatu politycznego.

— Podziwiam zimną krew, z jaką pan omawia takie rzeczy — człowiek z pańskim charakterem i odwagą istotnie powinien najszybciej zasiąść na ławie ministrów.

Stoikow skinął głową, widocznie zadowolony.

— Przyjacielskie życzenie pana może się prędzej ziścić, niżby się zdawało. Lada chwila oczekuję wezwania do pałacu księcia.

Panna Ilka podniosła ciemne oczy i wpatrzyła się w promieniejącą twarz przyszłego ministra.

— A twoja praktyka adwokacka, wuju? — zapytała z widocznym niepokojem — czyż będziesz mógł prowadzić kancelaryę, zostawszy ministrem?

— Oczywiście, że nie, z dniem mojej nominacyi adwokaturę porzucę; ale to nie przedstawia żadnych trudności. Ułożyłem się już na wszelki wypadek z kolegą Rankowem, który obejmie sprawy, prowadzone przezemnie, oczywiście pod warunkiem, że zatrzyma jako współpracownika pana, panie Kryłow.

Młody prawnik skłonił się w milczeniu, nie wyglądał jednak na człowieka zbyt zadowolonego z usłyszanej nowiny. I panna Ilka, która w tej chwili znów zatopiła się w obserwowania talerza, stała się nagle prawie purpurowa. Stoików nie zwrócił jednak na to uwagi. Zajadając z najlepszym apetytem pieczonego kuraka, rozwijał w dalszym ciągu szeroko swój program politycz ny, który przedłożyć miał księciu, a milczenie słuchaczy brał za wynik głębokiego podziwu.

— Widzi pan — zwrócił się do Kryłowa — że mam cele i drogi zupełnie wytknięte. Bułgarya będzie mieć wreszcie we mnie ministra odważnego i pełnego taktu, który, jeśli zajdzie potrzeba, gotów oddać swe życie za kraj ukochany...

Nagle służący zameldował przybycie pana Sobolewa, również jednego z członków opozycyi, i Stoików wstał od stołu, by przyjąć w gabinecie swego politycznego kolegę. Pani domu przypomniała sobie jednocześnie, że musi odbyć konferencyę z modniarką — panna Ilka i Kryłow zostali za stołem sami.

Już w pierwszej chwili tego sam-na-sam stała się rzecz niesłychana. Oto znana ze swej nienawiści do mężczyzn panna Ilka spojrzała na Kryłowa wzrokiem tak dziwnym, serdecznie wymownym i... rzuciła się w jego ramiona, przygotowane już na ten wypadek.

— O Aleksandrze! — zawołała — gdyby to prawdą być miało, że mają nas rozłączyć, nie przeżyłabym tego.

— Bądź spokojna, kochana — próbował ją pocieszyć Kryłow — przecie kancelarya Rankowa nie jest na drugim końcu świata, i mielibyśmy możność widywania się często...

— Nie znasz mojego wuja, jeżeli tak sądzisz, człowiek ten czuwa nad moim każdym krokiem, wie o wszystkiem, co robię poza domem. A jeszcze Sofia, to takie plotkarskie miasto. Niech nas tylko zobaczą razem, a nasza tajemnica zostanie zdradzoną.

— No dobrze, ale przecież wreszcie wuj musi się i tak dowiedzieć o wszystkiem.

(C. d. n.)

Czekali z tęsknicą wiosny. I dłużyło im się przy robocie w chmurne, bezsłoneczne dni. Majster wymyślał chłopakom od leniuchów i nierobów i dać sobie rady nie mógł z nimi. A jak już bardzo zły był, to zdjął ze ściany długi rzemyk, złożył we dwoje i śmignął któregoś z chłopaków po karku.

— W kalendarz patrzycie, urwipołcie. Na profesorów wam, a nie na szewców. Tu pracować trzeba. Batiary!

Aż przyszła wiosna. Złota i promienna, skąpana w jasnem słońcu, wiosna czarodziejska, co ludzi do nowego budzi życia.

Zaglądnęła do wilgotnej suteryny szewskiej i posłała pęk promieni złocistych.

Sam pan majster uśmiechnął się i mówi:

— A czas już był. Bo to i opał drogi i zimno człowiekowi i inaczej się jakoś pracuje.

A starszy czeladnik, który w samej pannie majstrównie kochał się z wzajemnością i pisał do niej listy na całkiem różowym papierze, podniósł głowę od kopyta i powiedział:

— Pisali w drukowanej książce, że wiosna, to pora miłości. Wtedy się człowiekowi najlepiej kocha.

— Pilnuj lepiej kopyta, a nie w warsztacie o miłości gadaj — powiada majster.

Staszek szturka Józka w bok.

— Zrobimy wystaw na słońce?

— Czekaj ino, jak majster pójdą.

Majster ubrał kapelusz i idzie do szynku na piwo. A kiedy zniknął za drzwiami, chłopcy w nogi.

— A bodaj was choroba — krzyknął za nimi czeladnik — ta gdzie lecicie. Bodajby was połamało, andrusy.

Chłopcy nie słyszą nic. Migiem przebiegli schodki i wylecieli na ulicę. Na ulicy zatrzymali się.

— Dzie idziemy?

— Ta na wander; — mówi przekonywująco Staszek.

— Chyba do parku stryjskiego. Albo do królikarni.

— Dymaj brachu i nie plichaj nic.

Biegną przez wyzłocone ulice. Przed ich oczyma cały korowód ludzi uśmiechniętych i prześlicznie ubranych, co idą nacieszyć się słońcem i wiosną. Wiozą jakiegoś chorego w wózku, a ten blady jak wosk także się śmieje i szczerzy zęby do słońca.

— Psia kość, jak ci grzeje — woła Józek — a my w takich ciepłych kaftaniskach.

Idzie jakaś wystrojona panienka, a w ręku ma pachnący bukiecik fiołków.

— Niech panna da jednego kwiatka — zagaduje ją Staszek śmiało.

Strojna dziewczyna uśmiechnęła się. Rozwija wiązankę i rzuca na bruk garstkę kwiatów.

— Pozbieraj sobie.

— Chyba, że pozbieram. Ruci całuję pannie.

Ustrojeni w kwiaty, które poumieszczali w dziurkach sięgających im do kolan surdutów, lecą dalej.

— Taki ci dzień dzisiaj uroczysty że nawet trambale prędzej jadą..., a konduktor taki wesoły, jakby kirny był.

Toczy się po ulicy dorożka na gumach, a w niej jakiś zblazowany złoty młodzieniec, jadący pewno po nieprzespanej nocy przewietrzyć się trochę na plac puwystawowy.

— O patrzaj jaki frajer i na gumach. Pojedziemy też.

Józek zrozumiał intencyę rozumniejszego brata. W jednej chwili, błyskawicą uczepili się u resorów powozu.

Jedzie, jedzie pan,
Na gumach sam,
Hop, hop!

Tak dojechali do parku.

— A teraz płacimy. I pójdziemy na ogród pieszo, jak jakie państwo.

Lecą przez wilgotne ścieżki, rozradowani, zadowoleni.

Stanęli przed pomnikiem Kilińskiego.

— Ty wiesz, że ten pan, co z kamienia stoi, to tyż był szewc.

— O rany Boskie. Ta nie łgaj!

— Żeby mnie tak na miejscu trafiło! Panna majstrówna mówiła i przysięgała się, że prawda.

W parku dużo ludzi. Dzieci z rodzicami czy bonami, zakochane pary, gruchające po ławkach w dolnych alejach, starsi, poważni panowie-emeryci.

Józek znalazł kawałek cygara „włożył go w twarz“ i zapalił. Kłęby dymu otoczyły go.

— A, jak smakuje.

— Daj i mi pociągnąć szluga.

— Poczkaj, zaraz, ino się rozpali.

Idzie jakiś pijaczysko. Tacza się i wyśpiewuje.

— O patrzaj, jaki polski brat!

A pijak spiewa głosem przerywanym przez czkawkę.

— Pij browar z charą,
Wraz z polską wiarą,

— Tra—ra—ra — wrzeszczą mu chłopcy w ucho w takt melodyi.

Za placem znaleźli chłopcy kompanię; na grze w „kiczkę“, łapance i rozmowie mijają godziny.

Zapomnieli chłopcy o całym świecie. Aż zmierzchło! Pierwszy Staszek się opamiętał.

— Oj, wytłucze nas majster.

— Trzeba dymać do chałupy.

Wracają powoli z pewną trwogą. Aż zatrzymali się przed domem, gdzie był warsztat.

— Tyś mnie namówił, a teraz mnie majster wypierze — mówi Józek.

— Nie rób nic.. nie pirszy raz i nie ostatni.

Stoją tak przed domem, milcząc. W tem dochodzą ich dźwięki harmonii. Okno suteryny oświetlone, do stołu nakryto. Przy stole pan majster w dobrym humorze pije piwo, pani majstrowa czyta gazetę, a czeladnik z zarumienioną panną majstrówną siedzą na kufrze. Czeladnik gra na harmonii tęsknego walca i śpiewa:

— Uuusta milczą,
Dusza śpiewa,
Kooochaj mnie,
Doookoła,
Głos rozbrzmiewa,
Kochaj mnie.

— Ta nima co, tylko chodzimy do środka — radzi Staszek.

Wnurzają się do izby.

— Panie majster — tłumaczą chłopcy nieśmiało — bo to wiosna.

Majster wstał z krzesła i bierze za rzemyk.

— Dam ja wam wiosnę.

A harmonia dalej gra tęsknego walca.

Mierz.

Od Wydawnictwa. Właściciele *Gońca polskiego*, starając się naprawić to zło, które zrządziła usunięta redakcya, przywrócili p. **Feliksa Thumena** w zupełności do jego praw jako dzierżawcy inseratów i kierownika ekspedycyi naszego pisma. Zatem bezprawne ogłoszenie poprzedniej redakcyi, jakoby p. F. Thumen wystąpił z naszego pisma uważać należy za bezprzedmiotowe.

Oszust na wielką skalę.

W Paryżu zdemaskowano świeżo oszusta na wielką skalę. Nazwisko jego Rochette. Karyerę rozpoczął jako kelner w Melun. Odziedziczywszy niewielki spadek przybył do Paryża i tu nawiązał stosunki z finansistami podejrzanego gatunku, którzy dopomogli mu do stracenia znaczniejszej części majątku. Ta strata naprowadziła Rochette'a na myśl samodzielnego zakładania towarzystw finansowych, w czem okazał się niebawem mistrzem.

Zawdzięczają mu swoje istnienie: Credit Minier, Banque Franco-Espagnole, Mines de la Nerwa, Manchon Hella, Buiston Hella, liczne kopalnie węgla, oraz pismo „Le Financier“. Dzięki bardzo gorliwej kampanii prasy, przedsiębiorstwa te miały pozorne powodzenie.

Czego ten trzydziestoletni zaledwie człowiek nie dokonał w ciągu niespełna pięciu lat! Reklamą, przekupstwem, szaloną obrotnością zdołał w sidła swoje wciągnąć bankierów, dyplomatów, deputowanych i całe rzesze kapitalistów, olśniewając ich złotemi obietnicami, tudzież hojnemi i sztucznemi dywidendami, ściągającymi mu coraz to liczniejsze kapitały. Przedsiębiorstwa jego posiadały filje w Madrycie i Brukseli, oraz we wszystkich niemal miastach prowincyonalnych Francyi. Po za tem ajenci Rochette'a krążyli od miasta do miasta, od domu do domu, wykładając drobnym kapitalistam korzyści z lokowania gotówki w rękach genialnego ich prycypała.

Prasa paryska wszelako zaczęła od pewnego czasu śledzić podejrzliwie kroki śmiałego spekulanta. Rochette postanowił się zemścić. Gdy więc taki „Petit Jornal“ wystąpił przeciw niemu opornie, spekulant nabył akcye dziennika i zaczął sprzedawać je publicznie, zniesławiając przytem w listach, wysyłanych do akcyonaryuszów, dyrekcyę przedsiębiorstwa.

To go zgubiło. Dyrektor „Petit Journal“, senator Prevat, udał się ze skargą do ministra sprawiedliwości Brianda i dostarczył mu materyału dla aresztowania gryndera.

Rochette'a aresztowano we własnem jego biurze i osadzono w więzieniu „La Santé“. Opuszczając biuro, aresztowany zapewnił urzędników swoich, że nieporozumienie wyjaśni się rychło, poczem zapalił cygaro hawańskie i z najzimniejszą krwią wsiadł z komisarzem policyi do oczekującego samochodu.

Ofiarą szalbierza padli przeważni mali kapitaliści, to też bankructwo jego nie wywołało na giełdzie znaczniejszego zaniepokojenia. Passywa jego przedsiębiorstw wynoszą około 120 milionów franków, aktywa zaś zaledwie 10 milionów.

Jak Rochette umiał chwytać w swoje sidła naiwne ofiary, świadczą liczne przykłady, już teraz zebrane przez sędziego śledczego. I tak pewien kapitalista z prowincyi kupił za kilka tysięcy franków akcyi Tow. „Hella“. Za radą pewnego bankiera postanowił sprzedać te akcye, ale nie mógł dokonać sprzedaży, gdyż papierów nie miał w ręce. Powiedziano mu mu po prostu, że akcye nie zostały jeszcze... wydrukowane. Gdy kapitalista zagroził skargą, kasyer szepnął mu do ucha: „Akcye pańskie sprzedaliśmy w imieniu pana i zyskaliśmy po 8 franków na każdej sztuce. Oto pieniądze“. Podstęp powiódł się. Kapitalista ów po kilku dniach nietylko kupił akcye „Buisson Hella“ za pierwotną sumę, ale zażądał nowych za sumę 5.000 franków.

Tymczasem jak, stwierdzono sądownie, fabryka siatek żarowych „Hella“ wcale nie istniała(!). W budynku, w którym się rzekomo mieściła, sędzia śledczy znalazł kilkanaście robotnic, mających dopiero uczyć się swego rzemiosła. Na murach Paryża widniały ogłoszenia o siatkach żarowych „Hella“, w dziennikach pojawiły się podo-

bne ogłoszenia, ale siatek owych nikt nie widział. Akcye mimo to kupowano.

Sprawa Rochette'a grozi też skandalem politycznym z powodu stosunków, jakie oszust utrzymywał z wieloma działaczami politycznemi, jak minisier handlu, Cruppi, wiceprezesi Izby, Robier i Etienne i inni. Przeciwnicy polityczni tych panów nie omieszkają wyzyskać ich stosunków z zuchwałym oszustem.

Przenigdy!

Nie damy się nigdy! To hasło niech stanie
Nad Wisłą i Bugiem, Nad Niemnem i Wartą
Za bodziec do czynu i wiary wyznanie!
Bierności, co hańbi, lenistwu, co wabi,
Zwątpieniu co truje.. niezgodni i słabi
Nie damy się przecie! Jednością my zwartą
Gdy chodzi o byt nasz. Wraz wszyscy [wołamy:
Nie dąmy się nigdy! Przenigdy nie damy!"
Choć rozpacz nam szepce: Wy jutra nie [macie...
Wy — bitnych praojców bezbronne wnu- [częta...
My jednak nie siądziem w cierpień maje- [stacie
Bezczynnie piać treny nad ojców mogiłą....
Ach łzami nie wskrzesić, nie wrócić, co [było!
Trwać, wytrwać kto pragnie, niech każdy [pamięta
Że hasłem najświętszem na dzisiaj mieć [mamy:
Nie damy się nigdy! Przenigdy nie damy!
Ni wiary, ni ziemi, ni serca, ni mowy,
Ni wspomnień przeszłości, ni jutra nadziei
Nie damy! Gdzie święty podworzec domowy
Tam wszyscy zastępem staniemy na straży
Kobiety i dzieci, i młodzi i starzy
I wszyscy wartować będziemy z kolei,
Jak czujne brytany, co strzegą swej bramy.
Nie damy się nigdy! Wszak prawda? Nie [damy!

T. P.

Kronika.

Kalendarzyk:

We wtorek rzym. kat. Balbiny P. — gr. kat. Kiryła.

We środę rzym. kat. Hugona; — gr. kat. Chryzanta.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera).

We wtorek „Lohengrin" (ostatni występ Al. Bandrowskiego, przedostatni występ A. Didura).

We środę po raz pierwszy „Mąż idealny", sztuka w 4 aktach z angielskiego Oskara Wilde'a.

We czwartek „Hugenoci", opera w 4 aktach Mayerbeera, gościnny występ A. Didura i Ireny Sołłohub; dyryguje p. Stermicz.

W piątek „Mąż idealny".

W sobotę o 3ej po południu „Kościuszko pod Racławicami"; o godzinie pół do 8 „Faust", opera Gounoda; gościnny występ A. Didura, oraz Marcelego Sowilskiego, tenora oper zagranicznych.

W niedzieię popołudniu „Poskramiacz złośnicy" Szekspira; wieczorem „Czar walca".

W poniedziałek „Mały Eyolf", sztuka w 3 aktach H. Ibsena.

Miejscowa.

Pogrzeb ś. p. profesora Kępińskiego odbył się wczoraj popołudniu z dworca kolei żelaznej, przy tłumnym udziale reprezentantów władz i publiczności. Przed gmachem politechniki z rampy przybranej kirem przemówił imieniem grona profesorów dr. M. Thullie, który w ciepłych słowach uczcił pamięć zmarłego i złożył hołd zasługom jego naukowym. Na cmentarzu przemówili prof. dr. Puzyna, żegnając zmarłego imieniem uniwersytetu, oraz dwaj przedstawiciele młodzieży, którzy podkreślili stosunek tragicznie zmarłego profesora do młodzieży, pełen serdecznej przyjaźni i obustronnego zaufania. Zmrok już zapadał, kiedy liczna rzesza żałobna opuszczała świeżą mogiłę znakomitego uczonego i prawego człowieka.

O bar. Ehrenburgu, który przed kilkoma dniami rzucił się z III. piętra hotelu Zorża, donoszą dzienniki wiedeńskie, co następuje:

Fryderyk br. Ehrenburg, jest ostatnim z katolickiej linii rodziny Ehrenburgów. Brat jego starszy i jedyny męski krewny w tej linii, Maksymilian, urodzony w r. 1844, właściciel Andrejówki w gub. kijowskiej, zmarł dwa lata temu. Ponieważ umarł bezdzietnie, starał się o spadek po nim br. Fryderyk. Władze jednak rosyjskie pretensyi jego uznać nie chciały, zarzucając, że jest on obywatelem obcym. Bar. Fryderyk odpowiedział na to, że jako szlachcic kurlandzki posiada prawo objęcia spadku. Rozpoczął się proces spadkowy, podczas którego władze rosyjskie zaznaczyły, że spadek przeznaczony zostanie zakładom dobroczynnym. Bar. Ehrenburg w sprawie tego procesu dojeżdżał często do Rosyi. Na kilka dni przed samobójstwem bawił znowu w Kijowie. Widocznie szanse jego nie przedstawiały się korzystnie i wybuchły nieporozumienia pomiędzy nim a jego rzecznikiem. Wywołało to u niego depresyę. Stale mieszkał w Wiedniu przy ul. Heumarkt 17 i przed ostatnim wyjazdem z Wiednia zapłacił czynsz do listopada. Zajmował tam mieszkanie kawalerskie, gospodarstwo prowadziła mu jakaś starsza kobieta. Pozostawił on trzy siostry, a to w Wiedniu wdowę po majorze Pierson Villani, wdowę po generalezbrojmistrzu baronową Hartlieb i żonę kapitana panią Prochaskową, która obecnie mieszka w Tarnowie.

Majątek, pozostały po bar. Fryderyku Ehrenburgu, wynosi około miliona kor., a mianowicie w deponowanych w Austryi papierach wartościowych 400.000 kor,, a w dobrach ziemskich wynosi 600.000 kor.

Bliżsi znajomi hr. Ehrenburga sądzą, że powodem samobójstwa nie była strata 40.000 rs., jaką poniósł przy sprzedaży działu spadkowego po bracie, lecz machinacye jego adwokata, który go zawikłał w rozmaite awantury.

Katolicka rodzina baronów Ehrenburgów, która się skończyła ze śmiercią bar. Fryderyka, uszlachconą została w r. 1468 w Czechach przez Jana II, księcia Lignickiego.

*

Na telegraficzne zawiadomienie o śmierci bar. Ehrenburga, przybyli w sobotę do Lwowa jego szwagier kapitan Prochaska z żoną z Tarnowa i druga siostra z Wiednia. Pogrzeb odbył się wczoraj popołudniu z kostnicy anatomii.

Kronika policyjna.

Piękne dnie wiosenne działają i na złodziei i na... policyę. Złodzieja nie chcą brać — a policya — nie ma nic do czynienia.

To też i koncepista policyi p. Bihun spoczywał wczoraj na krześle inspekcyjnym w śnie wiosennym, bo awanturników i złodziei nie było!

Tylko p. Stanisław Olch doniósł, że do mieszkania jego przy ul. Piekarskiej, pod l. 52 przybłąkała się gęś biała jak śnieg.

Nie była to gęś Kapitolińska, bo nie gęgała głośno, i owszem była bardzo potulną i w milczeniu czeka na swego hodowcę i pana.

Dalej kapral policyjny Wasyłyszyn doniósł, że aptekarz Dr. Poratyński wypuszcza swego psa bez kagańca. Wprawdzie jest to sprawa pana Sigla, a ponieważ kapral Wasyłyszyn niema pełnomocnictwa z ulicy Kleparowskiej, dlatego sąd rozstrzygnie ten spór przymusu kagańcowego.

W tak piękny dzień majowy okazał się brutalnym i dorożkarz Nr. 358, który najechał samego kaprala policyjnego Korczyńskiego, i dozorca domu co pobił 9-cio letnią córkę murarza p. Władysława Müllera. Uderzył ją w głowę kułakiem tak, że padła na ziemię krwią zalana.

Ze świata.

Straszny czyn. Dzisiejsza rycina nasza pokazuje do jak strasznych następstw prowadzi socyalistyczna agitacya wśród robotników, która im odbiera wiarę, ten najważniejszy hamulec wszystkich dzikich namiętności.

Oto w Düsseldorfie dwaj ślusarze, pracujący razem na pewnej budowie, posprzeczali się o dłuto. Jeden z nich Karol Sommer gdzieś dłuto zapodział. Drugi Józef Lüsser, potrzebujący tego dłuta, począł mu czynić wyrzuty. Od słowa do słowa przyszło do ostrej sprzeczki. Wreszcie dłuto się znalazło, ale rozbudzone namiętności nie ucichły, sprzeczka o nie trwała dalej, aż Lüsser tak dał się unieść namiętności do tego stopnia, że chwycił owe dłuto i przebił niem Sommera. Ranny wkrótce po przewiezieniu do szpitala zmarł. Lüssera oczywiście aresztowano.

Tyfus głodowy szerzy się obecnie w stolicy Węgier, w Budapeszcie. Co dzień zapada nań 4 do 5 osób, szczęściem jeszcze, że po największej części chorzy wracają do zdrowia, tak, że dotąd zaledwie w 15 wypadkach nastąpiła śmierć. Tyfus głodowy, inaczej zwany także plamisty, występuje nagle, tak, że nieraz zdarzają się w Budapeszcie wypadki nagłych zasłabnięć na ulicy. Władze miejskie zarządziły wszystkie możliwe środki, by przeszkodzić rozszerzaniu się tej strasznej choroby. Niestety, przyczyna wybuchu jej leży w strasznej nędzy, jaka panuje w tem mieście, mieście tak pełnem bardzo ubogich żydów.

Nadużycia żydowskiej spółki dostawców wojskowych. We Francyi zaczęły wybuchać po rozmaitych garnizonach epidemie, których przyczyna długo była niewyjaśniona. Wreszcie zauważono w ministerstwie wojny, że coraz więcej napływa skarg od najrozmaitszych pułków na [illegible]ęso, dostarczane do kasarń. Zaczęto więc badać sprawę dostaw mięsa i oto wyszły na jaw nadużycia od dawna uprawiane przez spółkę żydowskich liwerantów wojska. Wykupywali oni w rzeźniach chore bydło i mięso z niego dostarczali wojsku. Naturalnie nieuczciwym tym przedsiębiorcom wytoczono śledztwo.

Tajemnicze morderstwo. W tych dniach stanął w pewnym hotelu w Ba[illegible]lei pozasłużbowy pruski jenerał ze żoną. Nazajutrz po przybyciu znaleziono w pokoju żonę nieżywą z przekłutem gardłem i sercem. Jenerał aresztowany oświadczył spokojnie, że żona jego popełniła samobójstwo. Złożył on kaucyę i zaręczył oficerskiem słowem honoru, że się nie wydali z miasta — więc go pozostawiono na wolnej stopie. Śledztwo, jakie wdrożono, zdaje się wskazywać, iż zachodzi tu morderstwo lub zabójstwo.

Marny koncept niemieckiego kronpryncа. Dzienniki czeskie opisują następujące bardzo ciekawe zdarzenie z życia następcy tronu niemieckiego świadczące o niezbyt dojrzałym jego umyśle. Jak wiadomo, niemiecki cesarz uczęszczał do niedawna na uniwersytet w Bonn, gdzie należał do gorliwych uczestników zabaw burszowskich towarzystwa „Borussia".

Pewnego późnego wieczora wracał młody prync ze swymi towarzyszamy z knajpy studenckiej do domu w wesołem usposobieniu.

Gdy towarzystwo zbliżyło się do willi cesarzewicza, stanął tenże przed budką szyldwacha i pokazując żołnierzowi pierwszego

z kraju kolegę rzekł do wyprostowanego jak świeca wojaka: „Bierz tego pana!"

Żołnierz nie namyślając się długo łapie bursza za ramię i ciągnie do swej budki, ze słowami „aresztuję pana".

Student w budce śmiał się z żartu książęcego, a i żołnierz domyślając się figla, udawał niezgrabnie powagę.

Lecz cesarzewicz wziął teraz rzecz z odmiennej strony i zapytał się żołnierza:

— A co byś teraz zrobił, gdyby więzień próbował ci uciec?

— Instrukcya przepisuje, Wasza Ces. Wysokość, że mam go najpierw zawołać, a gdyby nie usłuchał — wolno mi strzelać za nim.

— No — no dobrześ powiedział rzecze cesarzewicz.

Ale w tej samej chwili wybiegł książęcy więzień z budki szyldwacha i począł uciekać.

„Stój, bo strzelę!" zawołał żołnierz i już zmierzył z karabinu za uciekającym — dopiero cesarzewicz chwycił za lufę i wstrzymał żołnierza w wykonaniu lekkomyślnie w żarty obróconej służby.

Żołnierz służbista zameldował na drugi dzień całe zdarzenie komendantowi garnizonu, a cesarzewicz zapadł nagle na jakąś niedyspozycyę, która przetrzymała go przez ośm dni w domu.

Polski pacierz. Było to w Poznańskiem za czasów kulturkamptu Bismarka. Na polu, z którego uprzątnięto zboże, stał chłopak i wodził okiem za trzodą pasących się owiec. Ubranie pastuszka było liche — na głowie miał słomiany poczerniały kapelusz, spodnie płócienne do kostek, wierzchnią część postawy okrywała długa, z szarego płótna koszula — przepasana wpół paskiem rzemiennym — w ręku trzymał fujarkę, nieodłączną towarzyszkę w samotnych chwilach na polu. Stał i patrzał za trzodą. Wtem zbliżył się do niego, raczej zaszedł z tyłu, jakiś pan o wyrazistych rysach twarzy, na której malowało się wiele inteligencyi.

— Jak się masz chłopcze — rzekł pan. Cóż tu robisz? strzeżesz moich owieczek.

— Tak panie, strzegę — odrzekł chłopczyk, przestraszony nieco nagłem ukazaniem się w polu swego chlebodawcy.

— I nie przykrzy się tobie przebywać tak w polu samotnie bez żadnego innego zajęcia?

— Nie, panie. Zagram sobie na fujarce — czasem się pomodlę, to znów gram na fujarce.

— Modlisz się? A umiesz ty pacierz?

— Umię.

— Po niemiecku?

— I po niemiecku.

No. to powiedz mi „Ojcze nasz".

Chłopczyk jak stał w kapeluszu i z fujarką w ręku, bez zająknienia wyrecytował: „Vater unser, der du bist im Himmel!...

— Dobrze, rzecze pan. A po polsku także umiesz pacierz?

— Umię! odparł śmielej pastuszek.

— No, to powiedz mi teraz „Ojcze nasz" po polsku.

Chłopiec zdjął z głowy kapelusz, ukląkł na ziemi, fujarkę odłożył na jedną stronę, kapelusz na drugą, następnie ręce złożył, oczy podniósł do góry i cały zatopiony w modlitwie, odmówił pacież po polsku.

Na ten widok, pan uśmiechnął się dobrotliwie do chłopca, poklepał go po ramieniu i rzekł: „Nie jestem Polakiem, ani katolikiem, ale życzę ci chłopcze, abyś zawsze modlił się po polsku". Wracając zaś do domu, myślał sobie: pacierz niemiecki w ustach tego chłopca, to pacierz przymusowy, szkolny — pacierz polski, to modlitwa jego, z pod strzechy rodziców. Poczciwy ów Niemiec żyjący na ziemi polskiej, z pewnością miał więcej inteligencyi w głowie, uczucia ludzkości w duszy i bojaźni Bożej w sercu, niż jego współrodacy, co się „tylko Boga boją".

Brak kobiet w Ameryce. Ostatni spis ludności w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej wykazał, iż we wszystkich stanach liczba kawalerów przewyższa znacznie liczbę mężczyzn żonatych. W takiej np. Kalifornii jest o 160 tysięcy więcej kawalerów niż żonatych. W stanie Waszyngton na jedną dorosłą pannę przypada sześciu kawalerów, w stanie Idaho ośmiu, a w Oregonie nawet aż jedenastu. „U nas inaczej".

Nieszczęśliwy wypadek. Piszą nam z Zaleszczyk:

Do tutejszego krajowego zakładu sadowniczego przybył przed trzema tygodniami dla dalszych studyów w zakresie sadownictwa ukończony słuchacz akademii rolniczej, p. Werner, syn zamożnych rodziców z okolic Warszawy. Dnia 25 b. m. wyszedł po południu na wysoki brzeg Dniestru po stronie bukowińskiej, aby stamtąd dokonać zdjęcia miasta Zaleszczyk. Aparat fotograficzny ustawił nad stromem brzegiem, a gdy aparat się pochylił, chciał go Werner zatrzymać, przy czem stracił równowagę i spadł ze stromych skał z wysokości około 250 metrów na brzeg rzeki. Bezprzytomnego z roztrzaskaną głową i pokaleczonego, oraz ze złamaną nogą, zawieziono nieszczęśliwego Wernera do szpitala, gdzie w godzinę później zakończył życie. Werner liczył dopiero 25 lat. Rodzinę jego przed kilku tygodniami wymordowali bandyci w Bielinie w Królestwie Polskiem.

Polska opera w Lublanie. Narodowy teatr słoweński w Lublanie coraz więcej i częściej zwraca się do polskiej twórczości operowej. W zeszłym tygodniu na deskach tego teatru ukazała się opera Minchejmera „Mazepa" w przekładzie na język słoweński. Wedle doniesień dzienników słoweńskich, opera doznała wielkiego powodzenia.

Krytyka podnosi piękności tej opery, chwali ją, zachwyca się mazurem, słowem świadczy dobitnie o głębokiem wrażeniu, jakie „Mazepa" w Lublanie wywarł na wszystkich.

Dzienniki stwierdzają również doskonałe przygotowanie opery: staranność i pomysłowość wystawy.

Z artystów, których na ogół chwalą, wszyscy z zapałem, wyróżnili sią: wysoce utalentowana sopranistka Collignon-Szymańska, jako Amelja i wyborny tenor bohaterski, p. Orzelski, w roli Mazepy, obydwoje Lwowianie.

Dziennik telefonowy. W Hirmondo, w Ameryce, istnieje dziennik „The Telephon-Hirmondo" albo „Caller-of-the-News" który mówi, tj. podaje wiadomości przez telefon. Osobliwa ta gazeta zatrudnia przeszło 200 osób i w porze zimowej komunikuje kilkunastu tysiącom swoich abonentów najświeższe wiadomości przez tysiąc sto kilometrów drutów telefonicznych. Oto jak osobliwość tę opisuje „The Scientific American": Od 8 godz. rano do 10 wiecz., ośmiu urzędników, o głosie stentorowym, recytuje całą „kopię" przed dwoma olbrzymimi mikrofonami. Wiadomości następują jedne po drugich, a więc polityka, finanse, sala sądowa sztuka, nareszcie wszystko, co się zazwyczaj znajduje w dzienniku. Nadto, abonenci „Telephonu-Hirmondo" mogą przysłuchiwać się przedstawieniom teatralnym, koncertom, oddając się przed kominkiem w swoim salonie przyjemnośai gry w karty, mogą przysłuchiwać się mowom różnych znakomitości na publicznych zgromadzeniach, słowem dochodzi ich wszystko od opery, mów aż do listy przyjezdrych. Każdy abonent bywa awiadamiany rano, o której godzinie otrzyma wiadomości. Co tydzień odbywają się w ten sposób przedstawienia i specyalne konferencye dla dzieci. Jedyny ten w swoim rodzaju dziennik ma szczególne znaczenie we wszystkich poczekalniach lekarzy, dentystów, fryzyerów i td. a ogromne rozpowszechnienie zawdzięcza także swojej taniości: za 10 groszy może każdy abonent usłyszeć u siebie najnowsze wiadomości.

Przygody milionera. August Dutuit, który zapisał miastu Paryżowi swoje wspaniałe zbiory dzieł sztuki, pozostawił niezależnie od tego olbrzymią fortunę swym sukcesorom. Pisma francuskie przytaczają mnóstwo anegdot z życia tego przedsiębiorczego i wytrwałego człowieka. Dutuit cały swój majątek zrobił we Francyi, w Ameryce był raz tylko i to nie z własnej woli. Wspomnienia też wywiózł stamtąd nie najmilsze. Kiedy był jeszcze na dorobku, ukradziono mu poważną kwotę 50.000 franków. Wiedząc, kto był sprawcą kradzieży, Dutuit puścił się za nim w pogoń. Złodziej przeprawił się do Anglii, Dutuit za nim. Był on ciągle tuż za złodziejem, nie mógł go jednak nigdzie przyłapać. Kiedy wreszcie rzezimieszek w porcie liwerpolskim wsiadł na statek, aby się przyprawić do Ameryki, Dutuit wynajął za ostatnie pieniądze najlepszy, jaki tylko był, żaglowiec i popłynął również do Nowego Jorku. Tam oczekiwał w porcie na złodzieja, pewny, że już mu się teraz z rąk nie wymknie. Nieszczęście jednak chciało, że statek ze złodziejem zawinął do portu w niedzielę. W dzień ten wszystkie urzędy amerykańskie bardzo pilnie prze trzegają wypoczynku, to też policya pomimo żądań i próśb Dutuita wahała się, co ma uczynić.

Jeden z artykułów „habeas corpusu" wymaga, aby aresztowany koniecznie tego samego dnia stawiony był przed sędzią śledczym i wobec tego zamierzała już wypuścić z rąk swych złodzieja. Zrozpaczony Dutuit woła, że nie po to przecież przepłynął Atlantyk i znosił morską chorobę, aby za to wszystko oglądać złodzieja. — „A więc dobrze — mówi przedstawiciel policyi — uczynimy zadość pańskiemu żądaniu, bądź pan łaskaw jednak złożyć natychmiast na stół 5.000 dolarów, aby zabezpieczyć w ten sposób pewność wynagrodzenia tego człowieka, jeśli się okaże, iż posądzony został niesłusznie". „Ależ nie posiadam nawet takiej sumy". — „W takim razie jedynie pańska osoba może być dla nas dostateczną kaucyą". — „Jakto? Chcecie mnie wpakować do więzienia?"—„Ależ tak. Inaczej bylibyśmy zmuszeni wypuścić złodzieja". Nie było rady: Dutuit poszedł do kozy, gdzie miał noc okropną, gdyż siedzący w sąsiedniej celi złodziej wciąż groził, że go zabije. Na szczęście w poniedziałek zrana, gdy sędzia śledczy powrócił do swych funkcyi, wszystko się wyjaśniło. Dutuit z 50.000 franków powrócił do Francyi. Nigdy już jednak nie mógł zapomnieć Ameryce tej nocy, spędzonej w więzieniu w sąsiedztwie opryszka.

WYDAWCA I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: INŻ. HENRYK MACHALSKI. WŁASNOŚĆ SPÓŁKI NIEJAWNEJ.
Z DRUKARNI „UDZIAŁOWEJ", KOPERNIKA 7.